

Zagórski, Andrzej

Moje wspomnienie z czasów okupacji hitlerowskiej

Nasze Korzenie 2, 47-50

2012

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Andrzej Zagórowski

Moje wspomnienia z czasów okupacji hitlerowskiej

(przypisami opatrzył Sławomir Gajewski)

Leśniczówka w Łągiewnikach był to niewielki drewniany, z zewnątrz otynkowany, parterowy dom, mieszczący trzy nieduże pokoje, kuchnię i spiżarnię. Pod dwuspadowym dachem znajdował się strych z różnymi rupieciami. Dom miał dwa wejścia: jedno do kuchni, od strony lasu, a drugie od strony szosy, przez taras, do jednego z pokoi przerobionego później na drugą kuchnię.

Dom stał tuż przy lesie, który był od strony południowej. Od północy rozciągały się pola uprawne należące do majątku Łągiewniki. Przez pola, w odległości niespełna kilometra od leśniczówki, biegła równoległe do linii lasu szosa prowadząca z Bodzanowa do Płocka. Za szosą znajdowały się częściowo zniszczone zabudowania gospodarskie majątku Łągiewniki. W odległości około jednego kilometra na wschód było pierwsze gospodarstwo wsi Borowice-Włościany, należące do Parzęckich¹. Na zachód od leśniczówki znajdowały się pola uprawne, następnie zadrzewiony jar (nazywany dawniej „parowem”), a jeszcze dalej, w odległości ok. trzech kilometrów, wieś Słupno.

Do wsi Borowice-Włościany, dokąd dość często chodziliśmy, prowadziła ścieżka biegnąca skrajem lasu. Jak wspomniałem, było tam gospodarstwo Parzęckich. Następne gospodarstwo posiadali Niedzielscy, którzy byli uważani za bardziej zamożnych. Mieli oni córkę i dorosłego syna, chyba z poprzedniego małżeństwa gospody-

ni, o nazwisku Caban. Ten miał syna Stasia. Dalej po tej samej, prawej stronie drogi było gospodarstwo Wochowskich (dwie córki?). Obok ich gospodarstwa, w akacyjnym lasku, mieszkała Michalska z dwiema córkami: starszą Zosią i młodszą Marysią. Następne gospodarstwo należało do Zielińskich, a dalej mieszkali Górniccy, uważani we wsi za zamożnych. W gospodarstwie Górniczych mieszkała bardzo stara, godnie wyglądająca babcia, która mówiła mi „paniczu”, czego wtedy nie rozumiałem. Kolejne gospodarstwo należało do Branickich, a następnie, leżące po drugiej (lewej) stronie drogi, do państwa Zychów.

Potem był odcinek drogi bez zabudowy, a dalej stały budynki dworskiej służby, tzw. czworaki. Nazwa ta pochodzi od tego, że w każdym budynku były cztery rodzinne mieszkania. Koło czworaków stały chlewiki dla świń i małe kurniki. Pamiętam, że przy drodze koło czworaków rósł duży kasztan, na którym wisiał kawał żelaza (może lemiesz) i młotek. Urządzenie to służyło do dzwonienia wzywającego ludzi do pracy w polu, obwieszczającego przerwę obiadową, zakończenie pracy, a także zwołującego mieszkańców czworaków w celu przekazania im ważnych informacji. Dzwonił zwykle karbowy, czyli nadzorca prac polowych i innych. W jednym z tych czworaków, położonym najbliższej bramy prowadzącej do przydworskiego parku, mieszkali Turscy tuż po pierwszej wojnie światowej, w czasie, gdy budowano obecny dwór.

Dalej droga biegła w zagłębieniu gruntu i skręcała w prawo w kierunku dworskiego podwórza otoczonego budynkami gospodarczymi (stodoły, obory, stajnie, chlewnie, spichlerz). Drugie jej



ZYGMUNT TURCKI
syn Stanisława herbu Dołęga
i Florentyny z domu Tuchółko,
zdjęcie z 1893 r.



Na schodach ganku dworu w Borowicach, ok. 1937 r.; ze zbiorów rodziny Turskich.
Stoją od lewej: Zygmunt Turcki (Dziadek), Ludwik Zagórowski, Rysio Jarocki, Halina Zagórowska.
Siedzą od lewej: Eugenia Turska (Babcia) z Andrzejem Zagórowskim na kolanach,
obok Zbyszek Jarocki, Hanka Turska (później Bucholcowa), opiekunka Andrzeja, Wanda Jarocka.



HELENA EUGENIA TURCKA
z domu Dunin-Mieczyńska, żona
Zygmunta Turckiego, zdjęcie z 1893 r.



Andrzej (po lewej) i Bohdan Zagórowscy przed dworem w Borowicach; fot. K. Pawlikowska.

odgałęzienie, w lewo, przechodziło koło rządówki, czyli budynku rządcy, i biegło w kierunku miejscowości Miszewo Murowane. W pewnym miejscu na wysokości dworu, nad drogą, przerzucony był drewniany most, prowadzący od leżącego nieco wyżej, na prawo od drogi, dworu, do parku nad stawem i dalej do ogrodu warzywnego i sadu.

W parku tym, niedaleko od stawu, rosło potężne drzewo (jesion?), na którego pniu Halina Turska wycięła duże litery HT. Litery te były widoczne jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Przed dworem od strony Wisły był duży klomb i rozległy trawnik, na końcu którego, nieco poniżej, rósł rozłożysty stary dąb. Dalej rozciągał się widok na leżące niżej nadwiślańskie lasy.

Nasza parafia i gmina mieściły się w Miszewie Murowanym. Ponieważ wieś ta była oddalona o 4-5 kilometrów od naszej leśniczówki, staraliśmy się dotrzeć do kościoła furmanką jadącą z któregoś z gospodarstw. Czasami podwozili nas państwo Romaniukowie. Było to bardzo sympatyczne bezdzietne małżeństwo, mieszkające w domu za parowem, w tzw. strachowie. Podobno ktoś kiedyś został w tym domu nastraszone i stąd taka jego nazwa. Pan Romaniuk był przed wojną rządcą w Borowicach i utrzymał tę funkcję również w czasie okupacji. W Miszewie odwiedzaliśmy państwa Gniazdowskich, którzy mieli dwie córki. Pan Gniazdowski był zarządcą miejscowego majątku, przed wojną należącego do Lasockich.

Mimo że mieszkaliśmy na wsi, zdobywanie żywności dla czterech osób nie było rzeczą prostą. Mama była zatrudniona przy pracach polowych na terenie Borowic i Łągiewnik, za co dostawała tzw. deputat w kartoflach i mące oraz czasami mleko, po które trzeba było chodzić do dworu. Mama zapamiętała, że dostawała również kartki na mięso czy słoninę, ale były to bardzo małe ilości, nie ma-

jące większego udziału w naszym wyżywieniu. Czasem udało się uzyskać talon (Bezugsschein) na materiał, zwykle kiepskiej jakości, z którego można było uszyć np. spodenki lub inną część chłopięcej garderoby. Jako matka małych dzieci zaczynała ona pracę, podobnie jak inne kobiety ze wsi mające dzieci, nieco później niż inne robotnice. Lecz były to takie same prace polowe i jednakowy wysiłek.

Zdarzył się co prawda, jak pamiętam, jeden verwalter (zarządca), który pozwolił Babci jako byłej właścicielce, brać mleko z dworu, ale następny cofnął ten „przywilej”. Część żywności dawał w lecie nasz ogródek i przydomowe poletko. Latem były grzyby zbierane w lesie, głównie przez Babcię, które jedliśmy i suszyliśmy na zimę. Były też czarne jagody, borówki, jeżyny i leśne poziomki. Jak się powiodło, to Babcia przynosiła ryby z borowickiego jeziora leżącego niedaleko Wisły. Ryby dawał jej zarządzający jeziorem miejscowy folksdojcz, kolonista niemiecki, który przed wojną dzierżawił jezioro od Dziadka i widocznie z sympatią wspominał tamte czasy.

Po świecę, naftę, knoty lub szkła do lampy i inne niezbędne produkty chodziliśmy sporadycznie do Słupna, do sklepiku Polittowskich. Sklepiak położony był niedaleko młyna. Po drugiej stronie drogi, mniej więcej naprzeciwko tego sklepiaku, stały baraki zbudowane dla tzw. junaków, tj. młodych Niemców zorganizowanych w brygady robocze (Arbeitsdienst). Junacy ci wykonywali różne prace leśne, drogowe, budowlane i inne na terenie pobliskich gmin.

Drewno na opał zbieraliśmy w lesie, ale ścinając np. suche gałęzie czy małe suche drzewko trzeba było uważać, czy w pobliżu nie ma Förstera, czyli niemieckiego leśniczego, który potrafił niespodziewanie nadjechać na rowerze, czasem na motocyklu. Mieliśmy co prawda zaprzyjaźnionego nadleśniczego, pana Szpicere, przez którego można było oficjalnie uzyskać trochę drewna na opał, lecz

nie były to ilości wystarczające. Pan Szpicera miał bardzo miłą żonę i dwóch synów. Był z pochodzenia Czechem i dlatego Niemcy traktowali go lepiej niż Polaków.

Jesienią zdarzało się, że w ramach deputatu Mama dostawała buraki cukrowe, z których można było zrobić melasę, a z tej melasy przyrządzić rodzaj marmolady, którą smarowaliśmy chleb w zimie. Produkcja tego smakołyku nie była prosta i odbywała się zwykle w jednym z gospodarstw. Buraki były gotowane przez kilkanaście godzin w dużych kotłach. Pamiętam, że raz uczestniczyłem w takim gotowaniu (chyba u Wochowskich), które trwało przez całą noc. Kotły stały na ceglach w specjalnych, zagłębionych w ziemi paleniskach, pod kotłami palono drewniane szczapy, a dym odprowadzany był zakończonym rurą podziemnym wylotem. Trzeba było pilnować, aby ogień był równomierny i mieszać buraczaną masę, by się nie przypaliła. Uzyskaną w ten sposób melasę (pamiętam też jej inną nazwę – „fiut”) mieszało się np. z rozgotowaną dynią i otrzymywało marmoladę.

Babcia opowiadała o tak zwanych dawnych czasach, w tym również o czasach swojej młodości. Zapamiętałem jak wspominała panią Szyndler, domową nauczycielkę, która kazała Babci i jej siostrze nosić deskę przywiązaną do pleców, *aby panny prosto się trzymały*. W ramach domowej edukacji mieściła się nauka czytania i pisania, rachunki, czyli podstawowy zakres matematyki, oraz, jeśli były ku temu możliwości, nauka języka francuskiego. Uczennice musiały mówić w czasie lekcji po francusku, a za jedno słowo wypowiedziane po polsku była kara: dziesięć francuskich słówek do nauczenia się na pamięć. Zgrabna sylwetka, język francuski oraz gra na fortepianie należały wówczas do podstaw właściwego *image* i odpowiedniego wychowania „dobrze urodzonych panien”. Moi pradziadkowie zwracali również uwagę na sprawy bardziej praktyczne i dlatego każda z córek przez pewien czas zajmowała się prowadzeniem całego domu, aby w przyszłości znać od strony praktycznej obowiązki pani domu.

Niektóre opowieści Babci i Mamy dotyczyły poprzedniego właściciela Borowic, Antoniego Grabowskiego. Został on zapamiętany, ponieważ był starym kawalerem i miał dziwne pomysły. I tak na przykład kazał kiedyś napełnić miskę miodem, a na jej dno położył srebrną monetę. Zwołał wiejskie dzieciaki i kazał im lizać miód, mówiąc: *Które się pierwsze dna doliże, weźmie sobie monetę*. Druga historyjka jest o Żydzie, który przyjechał bryczką do Grabowskiego, aby kupić od niego zboże. Grabowski zaprowadził go do spichlerza, w którym było zboże, dał mu worek i powiedział: *Nasyp sobie, noś na bryczkę i co nanosisz – bierz za darmo*. Żyd napełnił worek, wyszedł ze spichlerza i zobaczył, że jego bryczka stoi pośrodku pobliskiej sadzawki. Więc Żyd nosił zboże przez wodę, a Grabowski śmiał się zadowolony ze swojego dowcipu. Innym razem przestraszył jakiegoś Żyda wmawia-



Dwór w Borowicach od strony stawu; fot. B. Zagórowski.



Dwór od strony ogrodu; fot. S. Gajewski.

Staw w parku dworskim w Borowicach; fot. K. Pawlikowska.



jąc mu, że pies, który go ugryzł jest wściekły, co oczywiście było nieprawdą. Zaś któregoś lata kazał służbie zaprzęgać konie do kuligu, bo taka nasza go ochota². Grabowskiego uznawano za kawalarza do tego stopnia, że kiedy będąc na polowaniu usiadł i zmarł na zawał serca, to okoliczni wąpili w to myśląc, że to znowu jakiś dowcip.

Miejsce, w którym przeżyliśmy okupację, w porównaniu z innymi było spokojne, lecz i tu uczestniczyłem w wydarzeniach, które zrobiły wrażenie na siedmio-dziewięcioletnim chłopcu. Zostały one w mojej pamięci na zawsze. Szczególnie dobrze zapamiętałem próby z rakietami V-1. Niemcy nie przejmowali się tym, że mogą zabić podczas takich prób mieszkańców polskich wsi. Wystrzeliliwali z jakiegoś poligonu, leżącego od strony Płocka, pociski V-1 (pamiętam dwa lub trzy), które z głośnym klekotem przelatywały nad Łagiewnikami. Pewnego dnia usłyszeliśmy, jak jeden z nich wybuchł gdzieś za Borowicami. Po pewnym czasie od strony Płocka nadjechały dwa samochody z żołnierzami niemieckimi, którzy na mundurach mieli mnóstwo kolorowych naszywek i odznak. Mój brat Bohdan był wtedy koło szosy. Żołnierze ci spytali go, gdzie poleciał pocisk, a on wskazał im kierunek na Miszewo. Lej po tym pocisku oglądaliśmy później na polu majątku Miszewo³.

Kiedy Niemcy pod koniec wojny przygotowywali się do obrony, do kopania okopów zatrudnili miejscową ludność. Mama została zabrana do kopania okopów gdzieś nad Wisłą. To była ciężka praca wykonywana pod nadzorem Niemców niemal bez przerw. W pewnym momencie nadjechał na koniu jakiś ważniejszy umundurowany wojskowy, a z nim młody chłopak – tłumacz, też na koniu. Kiedy przejeżdżali koło Mamy, ten młody rozpoznał ją i spytał, co tu robi. Był to Tadzio Mazowiecki, cioteczny brat wujka Ludwika Waśniewskiego, którego rodziców Mama знаła jeszcze z czasów pobytu na stacji w Płocku. Wyjaśniła jak się tu znalazła, mówiąc jednocześnie jak bardzo się o nas niepokoi. Według relacji Mamy Tadzio poszwargotał chwilę z tym Niemcem, po czym powiedział, że dostała zgodę na pójście do domu pod warunkiem, że niezwłocznie wróci do pracy.

W styczniu 1945 roku wojsko niemieckie wycofywało się szosą w kierunku Płocka, jechało autami, motocyklami, rowerami i wozami konnymi. Wraz z wojskiem podążały również wozy z ludnością cywilną, zapewne niemiecką. Część wojska wycofywała się także pieszo, idąc przeważnie skrajem lasu koło naszego domu. Jak się później dowiedziałem, na polu przy lesie, pomiędzy naszym domem a wsią Borowice-Włóściany, zostało zabitych kilku niemieckich żołnierzy. Podobno trupy leżały tam jakiś czas, zanim je pochowano na skraju lasu⁴.

Pamiętam też, że po przejściu pierwszych radzieckich oddziałów, które przemieszczały się szosą w kierunku Płocka, do naszego domu przyszedł pewnego dnia jakiś młody mężczyzna ubrany po cywilnemu i rozmawiał z Babcią i Mamą po francusku. Przedstawił się jako Jeniec francuski, któremu udało się uciec z niemieckiej niewoli. Póź-

niej dowiedzieliśmy się, że został złapany, chyba w Miszewie, bodajże przez radzieckich żołnierzy i uznany za niemieckiego szpiega, który miał działać na tyłach wroga. Rozstrzelano go w Bodzanowie.

Po dwóch dniach od przejścia frontu, do naszej leśniczówki przyszli państwo Romaniukowie i namówili Babcię i Mamę, aby przeniosły się do dworu, bo tam będzie bezpieczniej i w razie czego będziemy mogli liczyć na ich pomoc. Po przeniesieniu się do dworu Mama uznała, że należy tam otworzyć szkołę dla dzieci z czworaków i ze wsi. Szkołę tę zorganizowała razem z Antkiem Górnickim. Mieszkał on we Włóścianach. Zajął się gromadzeniem wyposażenia klas (ławki, krzesła, tablica itp.) i przyborów do pisania. Jak wspomina Mama, był to bardzo energiczny i przedsiębiorczy mężczyzna, który dwa razy uciekł Niemcom z obozu. Jego ulubionym powiedzeniem było: *Trzeba mieć zawsze trochę śrytu i inteligencji*. Razem z Mamą uczyła w tej szkole jej znajoma Dziunia Kruszyńska, dyplomowana nauczycielka z praktyką w zawodzie. Mieszkała w Płocku u babci Brzozowskiej i jej córki Halinki, ciotecznej siostry Mamy.

Niestety po reformie rolnej musieliśmy wprowadzić się z dworu. Dworska ziemia została rozparcelowana i przydzielona małorolnym chłopom i bezrolnej służbie dworskiej. Byłej właścicielce, czyli Babci, nie wolno było mieszkać ani we dworze, ani nawet w tej samej gminie, w której leżała dawna posiadłość. Przeprowadziliśmy się do Słupna (była to już inna gmina), wynajmując mieszkanie w domu należącym do państwa Skorbiłowiczów. Był to drewniany, parterowy budynek z dwoma rodzinnymi mieszkaniami. W drugiej części tego domu zamieszkali państwo Lasoccy, właściciele majątku Miszewo Murowane. Do tego nowego mieszkania zostało przewiezione część mebli z borowickiego dworu. Zajął się tym pan Niedzielski z Borowic. Kiedy mieszkaliśmy w Słupnie, Mama przez jakiś czas uczyła w szkole podstawowej w sąsiedniej wsi Wykowo nad Wisłą. Jesienią 1945 roku cała rodzina przeniosła się do Białogardu, a następnie do Warszawy.

Andrzej Zagórowski, ur. 1935.

1. J. Łempicki, *Herbarz mazowiecki*, t. II, Poznań 1997, s. 52. Włóściany, Jaszczółtowiec, Zalesie i Procenice to dawne przyległości majątku Borowice. Nazwy te zanikły w XIX w., można je spotkać w księgach hipotecznych.
2. Informacja ustna pani Izabeli Guzanowskiej, spokrewnionej z rodziną ekonomy borowickiego dworu, Guzanowskiego.
3. Panowie Bohdan i Andrzej Zagórówscy pamiętają lej po pocisku znajdujący się nieopodal grodziska średniowiecznego w Miszewie Murowanym. Dziś jest to oczko wodne, zasypane nielegalnie zwożonymi śmieciami. Rewelacje o pociskach V-1 nie są potwierdzone. Należy tu jednak przytoczyć podobnie brzmiącą relację mieszkańców okolic wsi Kazimierzów, gm. Gostynin, którzy twierdzą, że *Niemcy przyjechali i zabrali szczątki V-1* (informacja K. Zadrozno). Wylania się więc problem niewątpliwie wart zbadania, mianowicie, czy pod Płockiem w czasie drugiej wojny światowej były testowane pociski V-1.
4. Informacja ustna Bohdana Zagórowskiego, który jako chłopiec widział poskręcane zwłoki ok. 5-6 żołnierzy niemieckich zabitych wystrzałem z sowieckiego czołgu.